Impuls, by zobaczyć, co zmieniło się w mieście, zaskoczył go; dawno już niczego nie pragnął i do niczego nie dążył; obrzydło mu rozumienie ludzi, którzy nie odpłacali mu tym samym.

*

Przemieszkiwał hen, pod samiuśkim lasem, tuż za docierającym do niego, niekiedy cichym, a na ogół wrzaskliwym echem życia: w miejscu idealnym dla mizantropów. Co miało swoje niewątpliwe plusy i minusy. Minusów jednak było mniej, gdyż ze względu na odległość i trud pokonywania dystansu od metropolii, czuł się lepiej niż ci, co do niego przybywali. Co, gdy chcieli trafić do jego pustelni, musieli zaryzykować, że zastaną zamknięte drzwi i opuszczone rolety. Dziękował więc za spadkową chatynkę, za istny pałac umożliwiający mu powroty z odwiecznych zmartwień. Powroty do krain świętego spokoju.

Przedtem nie troszczył się o dom. Nie poświęcał mu czasu. Poprzedni nie miał dla niego znamion realnych. Był zaledwie marzeniem, które często fosforyzowało w nim silniej. Zwłaszcza gdy wieczorkiem, po rozwałęsanym dniu, siadywał na tarasie i patrzył w głąb lasu. Albo jak leżał na kanapie i obserwował mrugające zmiany barw telewizora, zamyślony nad tym, czy jego życie ma jeszcze sens. Albo gdy pytał swojego drugiego ja, czy może sensem tym jest wiosna, ta nieustannie rześka pora zadziwienia naturą, czas kolejnego wnikania w biologiczne narodziny zmian, zmian zachodzących w nieosiągalnej przyszłości? A może ten sens życia wyrażał się brakiem widocznego sensu, codziennym padaniem na nie swoją twarz, codziennym podnoszeniem się z nie swoich klęczek?

Lecz gdy po dziadkach odziedziczył niepokaźną chałupinę, kiedy się z nią utożsamił i kiedy stał się właścicielem podpiwniczonego dostatku, nie było rzeczy, której by nie zrobił, by uchronić się przed wizytami nieproszonych gości. Niechcianych, bo każda ich wizyta łączyła się z bólem, z rozdrażnieniem, napadami wściekłości i połykaniem mnóstwa nerwinkowych kropli. Bo zdawał sobie sprawę, że poprzednio prowadził jedwabne życie idioty: osobistości przegranej, która do wszystkiego się przyczepiała, chciałaby o wszystkim decydować, na wszystko mieć wpływ.

Wcześniej zaperzał się, a kiedy już się wykrzyczał, przechodziło mu całe to histeryczne napięcie i zaczynał z innej beczki. Potulny, uwolniony od zalewającej go krwi, zasklepiał się we własnym świecie i coraz niechętniej pokazywał się na zewnątrz.

Nie cierpiał doradców, ekspertów, dyrygentów, reżyserowania cudzego życia, obcych i podniesionych głosów. Nawet szeptów nie w porę. Teraz mało co go interesowało. Chował się przed problemami, które przestawały rozwijać się zgodnie z jego przewidywaniem. Był z nich wyłączony, znajdował się na krańcach tego, co go jeszcze pasjonowało. Zakończył w sobie pewien maniakalny etap doświadczeń i rozpoczął nowy: porzucania rzeczywistości.

A dzisiaj? Z trudem przyznawał się do swojej niecierpliwości: uwidoczniona i znana prawda o niej, była zaledwie fragmentem, częścią wyimka prawdy. Passusem z pewnością nie tłumaczącym go z zacietrzewienia, z rozdrażnionego, cholerycznego reagowania na otoczenie.

Tak o nim myślano, a on, z różnych przyczyn, nie chciał zmieniać im krzywdzącej go opinii; bo choć gdy

po chwili niekontrolowanego wybuchu, miotania najgorszymi wyzwiskami, a czasem, oskarżeniem nie trzymającym się kupy - przenosił się do swoich spraw, cichł na dłużej i sprawiał wrażenie skruszonego.

*

Piątek nie budził w nim zaufania. Gdy, jak zwykle, uważał się za skończonego, przynosili mu telegram z przymusową propozycją wyjazdu do miejsc znanych z realnego cierpienia, skierowanie do następnych udręk; dawano mu wolne od wyciszenia.

W czwartki nie wychodził też. Chyba, że do pobliskiego lasu. Zasłaniał się wtedy reumatyzmem lub pretekstami w rodzaju kwękającej pamiątki po borowinie. W środę zdarzał mu się bezrobotny facet z elektrowni, blady jakiś, wymięty, no i te jego ręce; wścibski i szalenie bystry w rozglądaniu się po jego chudobie: tu spojrzy, tam zajrzy i od razu wie, czy warto posiedzieć, wkupić się w jego przychylność, czy kto gdzie mu co da: na drogę, na podręczną tacę czy *do zrozumienia.*

Zaś w poniedziałek – w ten szewski czas, jak najbardziej; to był wymarzony dzień na przechadzki. Był to dzień prawie że stykający się z niedzielą (jakkolwiek niedziela, to irytujący gwar, odświętny deptak: podstawowe komórki wyłażą ze swoich nor, przodem drałują bachory z kijami na niegrzecznych przechodniów, z tyłu przebiera nogami szyja rodziny, nadęta, upierścieniona, w kokardach i pretensjach).

Zatem w poniedziałek. Lecz nie jesienią. Jesień stanowiła dla niego za bardzo oślizłą porę roku. Przenikliwe zimno, drobny deszczyk, wczesna ciemność, rześkie i mroczne wstawanie, były to przyczyny narodzin jego melancholii. Co innego wiosną. Wiosna proponowała mu wycieczki do lasu i barwy zieleni zroszone czystością. Chodzenie po czymś, co do teraz nosiło nazwę łąki.

*

Gdy tak szedł przed siebie, w pierwszy dzień wiosennego tygodnia, nie myśląc o niczym szczególnym, widok domu w środku polany sprawił, że jego nogi same skierowały go tam, gdzie ostatnio był z ładnych *naście* lat temu. Rozczulający widok szkraba z przeszłości, niespodziewanie nałożył się na chatkę z wesołą smużką dymu. I widok ten zaczął wydłużać mu twarz, bo w miejscu, gdzie spodziewał się okna swojego pokoju i gdy niemal oczekiwał pojawienia się swojej piegowatej facjaty, zobaczył dziurę po nieistniejącej szybie, syczącą czeluść przybitą do dwóch skrzyżowanych dech, a na podwórzu, zamiast ogona *Czaka*, drobną, roztrzęsioną maszkarę; była tycim stworzonkiem, ujadającą furią wpisaną do encyklopedii pod hasłem *pies*.

Zaskoczyło go to uderzające podobieństwo do zwierząt; być może nagromadzona furia - wysusza, być może z mikrej i zjeżonej psiny, też kiedyś był tłusty brytan, a teraz została z niego skóra i kość.

Z szopy przy pompie wyszedł knypek z siekierą gotową do strzału i omiótł go niezbyt przychylnym wzrokiem. Ziewał, a w jego szczęce czarne pieńki grały w chowanego. W słońcu przemknęła bezcielesna postać, omamowy, dyszący chęcią zemsty goguś, a wściekle merdający piesek szydził mu prosto w twarz. Jakby, wtórując swojemu panu, całym drgającym ciałkiem drwił z niego zawzięcie: „i ten cię zawiódł, i on też jest twoim Brutusem, Brutusie".

Zapragnął uciec przed jego ironią, schować się pod pierzynę, przenieść natrętną myśl w inny kres, znaleźć się w miejscu nieodwołalnej samotności, skąd mógłby wypatrywać siebie idącego łąką, i tak sobie gwarząc z marzeniami, po godzinie marszu, dotarł do tramwajowej pętli.

Wsiadł do pierwszego. Było czubato. W trakcie jazdy, barczysty jegomość z podgardlem perliczki, rozwalony na siedzeniu, beznamiętnym wejrzeniem smarował okno, a gdy, przed przystankiem, tramwaj zwalniał, lub gdy zawadiacko przygrzewał na zakrętach, babina z paczką dwa razy większą niż ona, co chwilę, z uśmiechem proszącym o wybaczenie, lądowała mu na klapach jesionki.

Przyglądał się mu przez parę minut, a gdy się zorientował, że choć pan perliczka, co rusz trącany paką, nie ma zamiaru wstać, jak obcęgami chwycił go w dwa palce za ucho i powiedział życzliwie: *a ku ku!*

Na krzaczastej wysokości brwi ukazała się zdumione ryło jesionki i od tego momentu babina siedziała z paczką na podołku, podczas gdy jegomość dostawał wysypki z nieposiadania, on zaś czuł się nie tylko smętnym kronikarzem epizodów z historii, ale jej świadkiem, ale jej potwierdzeniem.

W nagłym porywie entuzjazmu, jednocześnie, omusnęły go te same, a mimo to różne przypomnienia ciemnych spraw. Spraw niewyjaśnionych, a bliskich, zapadłych w pamięć. Wynurzających się z niej bez wyraźnej przyczyny. Objawiających się w drobiazgach, w gestach i poruszeniach głowy, w spojrzeniu z lustra, w tanecznym, wolnym od trosk przechadzaniu się po ulicy. Owładnął nim ten sam, lecz odmienny sen: nieobecny, patrzył na zdejmowaną i układaną na mchu kurtkę, na buty kołysane wiatrem, na wywalony język.

Spoglądając poprzez okna, w skrzypiącym trakcie pożegnalnej jazdy przez osiedla, nieoczekiwanie obce, żyjące własnym, szokująco nowym rytmem, miał dziwaczne przekonanie: nie znalazł się tu na darmo.

Tramwaj, ze zgrzytem ulgi, zatrzymał się między przystankami. Zrozumiał, że jest to znak. Wydostał się z jego wnętrza i szedł dalej; nie mając pojęcia, dokąd. Nareszcie wydało mu się, że jest na miejscu. Zaciągnął się powietrzem i zakładając powróz, patrzył w minione życie, jak w kolczasty obraz łąk.

Przebywał teraz w krainach błyszczących lakierków i trzcinowych laseczek, butonierek i kamelii, w dorożkowych, pejzażach, wśród pozdrowień i przyjaźni na mur. Lecz nadal widział dzieci niosące w reklamówkach roześmiane głowy swoich rodziców i pomyślał, że bez żalu i na zawsze opuszcza techniczny Wiek Cyborga. Z ulgą stwierdził również, że po raz pierwszy od lat nie musi się niczym przejmować i zamartwiać tym, co nastąpi później, gdyż to, co miało nadejść, już jest. I wiedział że nic gorszego już go nie spotka, bo najlepsze zdarzenia są już za nim, więc z rozbawieniem stwierdził: *jutro też jest dzień.*

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

OWSIANKO, dodano 20.10.2021 21:09

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.